

026

Pani

Warszawa
05-2007
M.º / Nr 5

LISTY DO ŻYCIA





TYLKO NA SCENIE

*Dobrze jest mieć świadomość, że się nie zmarnowało życia
– mówi aktorka Zofia Kucówna. – Ja w moim
nie szukałam sensu. On się jakoś sam odnajdywał.
Po prostu żyłam, pracowałam, grałam, podróżowałam,
śmiałam się, cierpiałam też.*

Imieniny Zofii w maju. Kwitną wtedy bzy i konwale. Warszawskie mieszkanie aktorki Zofii Kucówny wypełnia słońce. Nieopodal zielenią się Łazienki. Urodzona w maju, mówi, że wiosną budzi się do życia. – Mam naturę rośliny – tłumaczy. – Wiosną i latem jestem aktywna i ruchliwa. Jesienią i zimą wpadam w bezruch. Zmieniają mi się nastroje i tryb życia.

Kiedy była dziewczynką, w ciemne deszczowe lub śnieżne popołudnia wygniatała kolanami fotele, czytała, uczyła się, haftowała, robiła szydelkiem szaliki, słuchała radia. Jej starszy brat, pytany, jaką wspomina ją z dzieciństwa, mówi, że skuloną, z brodą podpartą na dłoni, w skupieniu przewracając kartki książek. Ale gdy robiło się ciepło i okna były już pootwierane, to aż coś wołało ją z zewnątrz. Co? Rodząca się na nowo natura. I tak jest do dzisiaj. Zofia Kucówna z radością wychodzi na zajęcia ze studentami. Lubi uczyć, poznawać młodych, obserwować ich. Mówi, że od kilkunastu lat jej najpoważniejszym i najbliższym partnerem życiowym jest młodzież. Bo chociaż na scenie spędziła pół wieku, a oni stawiają na niej pierwsze kroki, to wciąż fascynują ją różnice i podobieństwa między nimi a jej pokoleniem. – Nie raz przeżyłam olśnienie, gdy okazywało się, jak oni są podobni do nas, tych z lat 50.

– Jak to? – pytam. – Minęło pół wieku, a Pani sądzi, że nic się nie zmieniło?

– Zmieniła się obyczajowość – odpowiada Kucówna. – Ale przemiany społeczne to jedynie tło, które ma oczywiście na nich ogromny wpływ, ale wewnątrz są tacy sami jak kiedyś my. Mają te same pragnienia, ambicje, aspiracje. Także ideały. Taką samą żądzą akceptacji i potrzebę miłości. Tylko inaczej ją objawiają. Są równie sentymentalni jak my. I agresywni jak my byliśmy. Natura ludzka jest niezmienna. Na jej prawach w każdych czasach i każdej epoce powstaje taki sam katalog wartości.

Rafał Królikowski, który był studentem Kucówny w warszawskiej Akademii Teatralnej, podkreśla, że darzył ją ogromnym szacunkiem. Podobała mu się jej elegancja i klasa. Wspomina, że gdy koledzy z jego roku zbuntowali się przeciwko Kucównie i przedstawili własne interpretacje wierszy, to ona nie dość, że ich wysłuchała, ale jeszcze zaprosiła do siebie do domu.

Dorota Naruszewicz opowiada, że choć od początku uznała aktorkę za autorytet, to był on podszyty nutką respektu, a nawet strachu. – Była bardzo wymagająca – wspomina Naruszewicz.

– Nauczyła mnie, że zawód aktora to także rzemiosło – dodaje Królikowski. – Dzięki niej wiem, co robić, by w teatrze dotrzeć do widza nawet w ostatnim rzędzie. Po latach doceniam jej metody nauczania, choć gdy byłem młody, wydawały mi się kompletnie obce.

Jednak dla niektórych Kucówna uosabiała to, co w teatrze sztuczne. – Jestem osobą spontaniczną – mówi Katarzyna Herman. – Nie mogłam pogodzić się z tym, że Kucówna każe mi powtarzać za sobą wiersz w identycznej intonacji. Zajęcia u niej skończyłam z dwójką w indeksie.

Natomiast Joanna Brodzik twierdzi, że Kucówna potrafiła bardzo celnie scharakteryzować przyszłość aktora. – Powiedziała mi kiedyś: „Tylko proszę, nie graj femme fatale”. Wzięłam sobie tę radę do serca.

BOSONOGA W KRAKOWIE

Szkołę aktorską Zofia Kucówna skończyła w Krakowie w 1955 roku. Do tego miasta przeprowadziła się z rodzicami podczas okupacji. Wcześniej był dom w Komorowie pod Ostrowią Mazowiecką, gdzie mieszkała nie tylko z rodzicami i bratem, ale i z babcią, dziadkiem, ciotkami, wujkami i wszelkiego rodzaju kuzynostwem. To był prawdziwy dom pokoleniowy. Z zasadami. Dawał poczucie bezpieczeństwa. Spichlerz dla całej rodziny, gdzie robiono się przetwory, suszyło grzyby, zbierało i przesypywało mak, by w tłoczni powstał z niego olej. Piekło się chleb, wędziło szynkę na Wielkanoc. Kucówna podkreśla, że choć jej młodość przypadła na okres PRL-u, to mentalnie ukształtowało ją XX-lecie międzywojenne, nastrój, jaki panował w rodzinnym domu.

Komorowo to było bieganie boso po polach, wdychanie zapachu kwiatów i cierpkiej woń ziół, beztraska i swoboda.

Kraków jest ważny, bo w nim wydarzyło się wszystko, co w jej życiu pierwsze. Pierwszy teatr, który zorganizowała dla dzieci ze swojej kamienicy. Pierwsze olśnienia poezją, gdy w czasie choroby jako dwunastolatka przeczytała „Beniowskiego” Juliusza Słowackiego. Pierwsze uderzenie serca

dla chłopca, którego z koleżankami nazwały „Soplicą”, bo nie znały jego imienia. Patrzyła na niego w kościele, gdy służył do mszy albo obserwowała na ślizgawce. Młodzieńczym zachwytem darzyła sąsiadkę, panią Marię z pierwszego piętra. – To była kobieta w świetnym stylu – wspomina. – Dama. Uczyla się jej zachłannie. Później podobną formę nienaganności, wzbogaconej jeszcze bagażem intelektualnym, odnalazłam u Marii Kuncewiczowej.

– Patrzę teraz na Kraków jak przez odwrotną stronę lornetki – mówi Kucówna. – Doceniam to, że moje odkrycia miały miejsce w tak pięknej scenografii. Mam tendencję do mitologizowania i do upiększania, dlatego Kraków stał się dla mnie nostalgicznie magiczny. Pewnie dlatego też, że nie ma tam już mieszkania moich rodziców, w którym do końca ich życia stał mój paniński tapczan. Dzisiaj czuję się w tym mieście dziwnie i niewygodnie, bo mieszkać muszę w hotelu.

Kraków to wreszcie liceum plastyczne i Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna. Ta pierwsza uczelnia chyba nawet ważniejsza, bo spędzone w niej dwa lata Kucówna wspomina jako czas nieustannego zdziwienia. – Tam były nie tylko okna, ale i drzwi otwarte na sztukę. Wpuszczono nas, młodych barbarzyńców, całkowicie za darmo i na całe życie – opowiada.

W jej życiorysie ważne są dziewiątki. W 1949 roku zdała do szkoły plastycznej. W 1959 roku przyjechała do Warszawy. W 1969 roku przeszła z Teatru Powszechnego do Narodowego. Rok 1979 to czas choroby, a w roku 1989 rozpoczęła samodzielne życie po rozstaniu z Adamem Hanuszkiewiczem.

Jak to jest zostać samą po 25 latach małżeństwa? – Trudność sprawia codzienność. To, że nie ma komu powiedzieć „dzień dobry”, pożartować, pokłócić się. Do śniadania, obiadu i kolacji siada się w pojedynkę. Musiałam się tego życia nauczyć – opowiada aktorka. – Czułam się odrzucona, nikomu niepotrzebna. Więc szukałam sposobu na takie życie. I znalazłam. Było trudno, ale dziś już nie odczuwam samotności jako czegoś przykrego. Paradoksalnie, pewnie trudniej byłoby mi przejść przez to, gdyby nie choroba, którą wcześniej pokonałam. Dzięki niej przewartościowało się moje życie do tego stopnia, że gdy zostałam sama, nadrzędna wartością stało się samo życie. Żyłam i to

wydawało mi się bardzo optymistyczne. Przetrwac pomogły mi też geny. Mam w sobie chłopski konkret, który na wszelkie bolączki poleca pracę. Przepracowałam więc i chorobę, i samotność. Jedno jest pewne, to wszystko „uskromniło” mnie.

Pomocą, poza pracą, okazało się też pisanie. Jej pierwsza, autobiograficzna książka „Zatrzymać czas”, wydana w roku 1990, stała się bestsellerem. Później ukazały się jeszcze: „Zdarzenia potoczne”, „Zapach szminki” o teatrze i „Opowieści moje”, czyli zapis felietonów, które autorka drukowała na łamach PANI. – Pisarstwo było bardzo pouczającym doświadczeniem. Staralam się pisać prosto, ale dźwięcznie. Na scenie mówiłam wspaniałymi tekstami: Mickiewicza, Slowackiego, Norwida, Wyspiańskiego. Staralam się więc, żeby moje pisanie choć trochę oddawało piękno muzyki języka polskiego.

MIĘDZY SCENĄ A BLEJTRAMEM

– Nie marzyłam, by zostać aktorką – wspomina Kucówna. – Do końca wahałam się, czy zdawać na ASP, czy PWST. Byłam rozdarta, wątpiąca. Wartość tego zawodu odkryłam dopiero w trakcie uprawiania go. Kucówna była: Nora z „Domu lalki” Henryka Ibsena, Arielem w „Burzy” Szekspira, Szimena w „Cydzie” Corneille’a, Eurydyką w „Eurydyce” Jeana Anouilha, Panną Młodą w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego, Sonią w „Zbrodni i karze” Fiodora Dostojewskiego, Maszą w „Trzech siostrach” Antoniego Czechowa, Lady Makbet w „Makbecie” Szekspira, Fedrą w „Fedrze” Jeana Racine’a. Wspaniała kariera obejmująca dziesiątki ról teatralnych i wiele telewizyjnych. Przyznaje, że jest niedzisiejsza w pojmowaniu zawodu aktora. – Upieram się, że bywa mijsją – twierdzi.

Aktorstwo leczyło ją z różnych cierpień urojonych i prawdziwych. Bolała dusza, a trzeba było wyjść na scenę i grać. Odłożyć własne problemy, przeżyć cudze. Choć zawiódł jeden człowiek, nie zawiódł nigdy publiczność. Bolało, że zespół Teatru Narodowego, któremu szefował Hanuszkiewicz, traktował ją jak dyrektorową. Ten podziiał: zespół, dyrektor i ona – to było nieznośne.

Miała potrzebę więzi ze środowiskiem, więc zgłosiła się do pracy na rzecz Domu Aktora Weterana w Skolimowie. Zaczęła nim zarządzać, zżyła się z jego mieszkańcami. Nadzorowała budowę nowego pawilonu i moder-

nizowanie dwóch istniejących. Urządzała wnętrza. Do dzisiaj w Skolimowie są zasłony i dywany wybierane jej ręką. Wrażliwa na piękno, chciała, żeby Skolimów nie był domem opieki społecznej, ale żeby był tylko i aż zwyczajnym domem. Urządzała go więc przez blisko 30 lat tak, jak urządza się własne mieszkanie. Skolimów wypełnił pewną lukę w jej relacjach ze środowiskiem, a później w dużej mierze stał się sensem życia. Dziś uważa, że jest jej największym sukcesem, bo fizycznie dotykałnym.



Nie ma we mnie żalu za tym, co było. Nie uważam, że życie w pojedynkę zubaża.

Przeciwnie, otwiera na świat i innych ludzi.

CZEKAJĄC NA OLSNIENIE

– Spełniłam się jako aktorka, kobieta i człowiek – mówi. – Nie zrealizowałam się jedynie jako matka, ale to już na własne życzenie. Jestem Bykiem, urodziłam się w maju. Nie umiem robić kilku rzeczy naraz, a myślałam, że obowiązki płynące z macierzyństwa zamknęłyby mnie z dzieckiem w domu. Nie miałam takich tęsknot.

– Nie ma we mnie żalu za tym, co było – podkreśla. – Nie uważam, że życie w pojedynkę zubaża. Przeciwnie, otwiera na świat i innych ludzi.

– A czy jest coś, co się Pani w sobie nie podoba?

– Wiem już, że nie da się przejść przez życie tak, aby nie potrafić drugiego człowieka. I to mi się zdarzyło. Ile razy, nie wiem. Ale zdarzyło się. Ważna jest dla mnie świadomość, że nie zmarnowałam życia, choć nie oczekiwałam niczego nadzwyczajnego. Po prostu żyłam, robiłam, pracowałam, grałam, podróżowałam, śmiałam się, cierpiałam też.

Przyznaje się, że długo nie mogła pogodzić się z upływającym czasem. – Bardzo bolesne jest przechodzenie w nieistnienie – mówi. Tak długo jak tylko się dało, nie chciała odchodzić na emeryturę. Pamięta dzień, gdy wreszcie musiała zrezygnować z etatu w teatrze. Wracała do domu ulicami słonecznej, letniej Warszawy, a jej wydawało się wszystko szare, smutne, nieżywe. Przypomniała sobie jedno z ostatnich swoich spotkań z Aleksandrem Bardinim, pod kandelabrem na MDM-ie. Powiedział wtedy: „Pamiętaj, moja Zosiu, starość trzeba sobie samemu wykreować. Nawet wyreżyserować”. Wtedy nie dotarł do niej sens tych słów, a teraz idąc ulicą Marszałkowską jako świeżo upieczona emerytka, zrozumiała je z całą mocą. Postanowiła, że odtąd zacznie reżyserować swój los.

– Próbuję realizować przepis pana Bardniego. Dopóki jestem zakochana w życiu, dopóki znajduję rzeczy, które mnie olśniewają, rozczulają, wzruszają, również złością i wściekają – istnieję, trwam, jestem obecna, biorę udział w spełniającym się misterium życia – mówi.

Ostatnio ciężko znosi rzeczywistość. Jest obrzydzona tym, co dzieje się teraz w Polsce, z ludźmi. – Tak, tak, właśnie obrzydzona, niech się pani nie boi słów – zwraca się do mnie. – Swoją teraźniejszość buduję wprawdzie również na wspomnieniach, ale nie odczuwam potrzeby cofania się w przeszłość po to, by kogokolwiek potępiać, oskarżać i pogardzać nim. Ktoś, kto nie lubi ludzi, jest nieufny, podejrzliwy i stanowczo za dużo mówi o moralności, budzi moją nieufność. A życie z brakiem zaufania zamienia się w absurdalny bezsens. Z całą pewnością nie mogłabym wykonywać zawodu prokuratora. Sędziego chyba też nie. Do budowania szubienic nie nadaję się. Mieć lat 70 i cztery jest rzeczą miłą. Wreszcie można mówić prawdę. ■